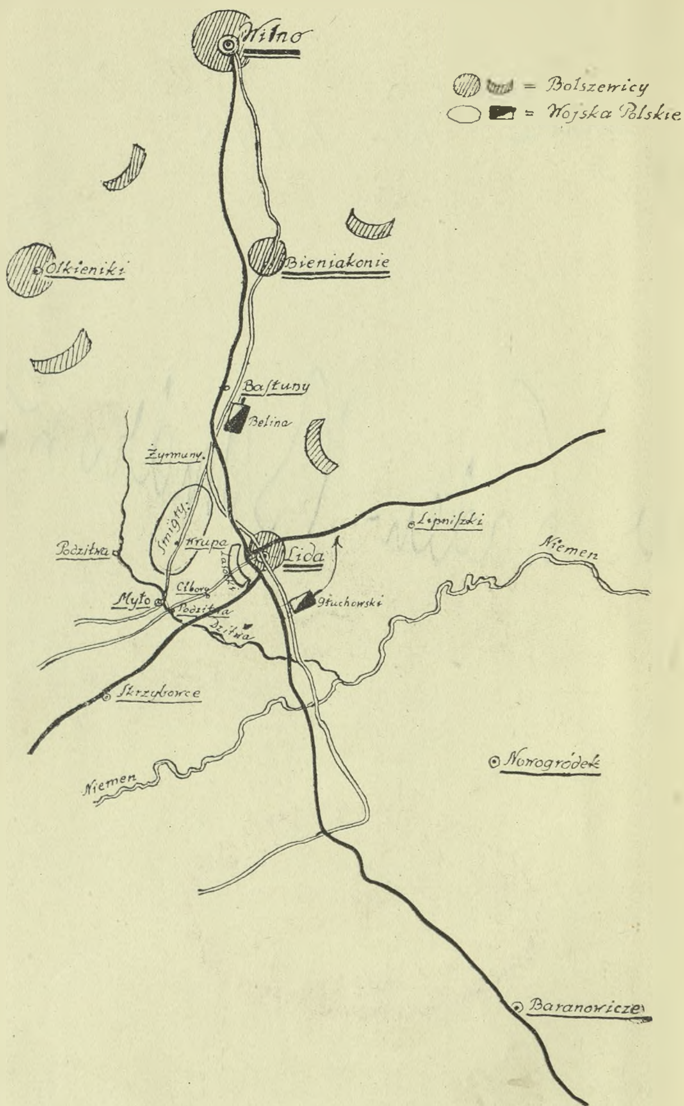
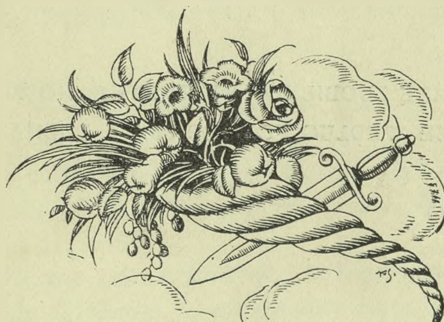
D
1845

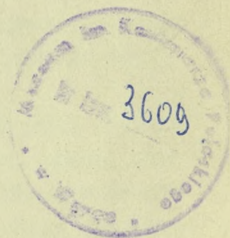
Z.N.P.


Wilno
= Bolszewicy
= Wojska Polskie
Olkieniki
Bieniakonie
Bastuny
Belina
Żyrmuny.
Śmigły:
Krupa
Podzitwa
Lida
Lipniszki
Niemen
Cibory
Myto
Podzitwa
Głuchowski
Dzitwa
Skrzybowce
Nowogródek
Niemen
Baranowicze

WYPRAWA
WILEŃSKA



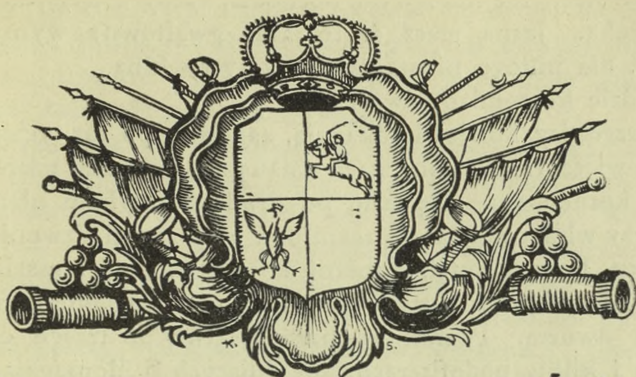




JULJUSZ KADEN-BANDROWSKI

KSIĄŻKĘ ZDOBIŁ KAJETAN STEFANOWICZ.
KLISZE WEDŁUG FOTOGRAFII J. BUŁHAKA.

Tłocznia Wł. Łazarskiego w Warszawie.



WYPRAWA WILEŃSKA

Nowy-Świat, dorożki, tramwaje, gwar, złote smugi świateł, białe mlecze elektrycznych lamp, Zjazd, wspaniałe pudło Królewskiego Zamku, który przestronnymi tarasami, tak godnie zstępuje w fale Wisły, — wszystko to mija szybko...

Most. Zimne tchnienie rzeki, niosącej pierwszą wiosnę z ciemnych dalekości, — nieskładne ulice Pragi.

Już blizko... Widać tu już oddziałki piechoty... Żelazne wozy wojskowe dudnią w mroku, a krańcami gościńca spieszą przysadziste podwody z wysokim garbem oficerskich walizek.

Dworzec Brzeski... Na wszystkich torach stoją ciężarowe pociągi, ktoś ładuje jakiś dobytek w ich czarne, czerwonymi ramami obrzeżone czeluście... Kilku sierżantów przebiega z pękiem karabinów. Jakaś sekcja piechoty włóczy się od drzwi do drzwi. Zgięte plecy piechurów, upakowane wysoko, sięgają wyżej głów, migając w cieniu, niby obtłuczone nagrobki.

Na stacji nic nikogo nie obchodzi, każdy zajęty jest tylko sobą. Jasna rzecz, że to jakiś gwałtowny wymarsz. Nikt dla nikogo niema czasu, wszyscy klną...

Gdzie komendant dworca?

Urzędnicy kolejowi pokazują, zapewne po raz tysięczny tego wieczora, tę stronę stacji usianą światełkami, gdzie ma być komendant. Idę tam, po drodze spotykam ułanów, którzy wloką siodła. Strzemiona i sprzączki dzwonią po bruku. Kawalerzyści, omotani w uprzęż, klną straszliwie.

Z mgły i przekleństw wyłania się niespodzianie komendant dworca. Poznać go bardzo łatwo po trzech oficerach i kilku podoficerach, meldujących i domagających się czegoś nieustępliwie.

Udziela mi informacji, a przeplata je wciąż numerami pociągów, transportów, oddziałów i baterji.

Proszę pana, — mówi, — co się będę chwalił, no nie? My stara wiara, okryta ranami, nie dla chwały się to robi... Ale pan sam rozumie, — dwadzieścia pięć transportów dziennie!... A do tego żołnierz nasz nie umie się jeszcze wagonować. Ten pośpiech, panie kolego, ten straszny pośpiech!... Ułani dopiero w Ostrowiu spotkali się ze swymi siodłami! Piechota dopiero tu, na stacji, dostawała karabiny!.. Dotąd pałkami się gimnastykowali!.. Proszę pana, ten rekrut nie wie jeszcze, co się robi z ręcznym granatem!! Czy to się bierze w zęby i pali, jak cygaro, czy to trzeba na lufę nasadzić i wystrzelić!... Menażek nawet nie mają! Czort znajet!... Zamiast menażek miednice noszą pod tornistrami na siedzeniach! Patrz pan na nich z tyłu, każdy pełnią świeci...

Przechodzimy na drugą stronę, po drodze wrzeszczę na mego ordynansa, który już się gdzieś „zgubił”.

Wstąpiliśmy do gospody żołnierskiej, ufundowanej przez panią Paderewską. Duże bielone ściany, piaseczek hy-

gienicznie zgrzyta pod butem, w poprzek świeże drewniane stoły. U skrajów sufitu deseń polnych kwiatów dodaje całej sprawie polotu. Przy kasie miła, biała ligawka i dwaj żołnierze nad nią zwieszeni.

Przysiadam się do oficerów kolejowych, którzy oglądają długą, glansowaną laurkę. Jest to jubileuszowo wykaligrafowany rozkład jazdy pociągu Naczelnego Wodza na front. Laurka giętkimi zawijasami pisana. Jemy chleb z szynką, mój Boże, herbata kosztuje tu tylko dziesięć fenigów! Nagle zaczynają drżeć szyby, — zajeżdża pociąg.

Nie pociąg, a wspaniała pracownia wojskowa. Chodzimy oglądamy, dotykamy... U Naczelnego Wodza w pokoju są nawet firanki, fotel, kanapa! Dalej apartamenty mieszkalne, pokój do narad, wszystkie wozy połączone telefonicznie. Osobny wagon z aparatem Hughesa. Przed małą klawiaturką siedzi tu jakiś pan, pośród bębnów z drutami i próbuje tych swoich arkanów tajemniczych. Nad klawiaturą umocowane jest wrzeciono z błyszczącego mosiądzu, które w czasie pracy aparatu obraca się z nie zmordowaną szybkością.

Ten i ów przebąkuje o Wilnie, ale nikt „temu" nie wierzy. Naczelny Wódz ma przybyć dziś w nocy i jazda!

Na wojnę, — widać to choćby z tego, że nikt nie wie dokąd i kiedy...

Przespaliśmy w wagonach, czternastego kwietnia obudziliśmy się w Rembertowie. Znów czekamy. Nareszcie!

Koło dwunastej w południe przyjechał samochodem Komendat Piłsudski...

Wyskoczył z wozu. W szarym wojskowym płaszczu, naprzód pochylony, idzie ku nam.

Przed nami las szumiący, za nami pociąg, nad wszystkim niebo ciężkie stropione, karetka samochodu pyka u podjazdu, wzdłuż rampy wysztyftowany pluton skau-

tów, którzy stanowią osłonę Naczelnego Wodza. Chłopaki broń prezentują, my z boku wyciągnięci, jak struny tylko wiatr poły płaszczów odwiewa, — Komendant przyjmuje raport.

— Daj spokój, — powiada mi szeptem kolega, — to tak, jak na Elbie...

— Na jakiej Elbie?

— Że niby tego owego, nic, wojska mało, jeden plutonik, kupka oficerów — a potem dopiero ze sztychu wynika, że to była strasznie ważna historja... Naprzykład powrót Napoleona do Francji...

— To zrób sztych, — odpowiadam.

Teraz już jedziemy. Wszyscy głodni, jak psy. Ogromna uciecha, bo odrazu wołają na obiad do wagonu restauracyjnego.

Zupełny Wersal, — na stołach kwiaty. Nad obrusami, niby roje jasnych muszek niebieskich,—niezapominajki.

Rotmistrz Wieniawa wygląda ciągle przez okno i przy każdej wioszczynie, przy każdej chałupie mijanej, pyta się — czy to już Wilno?...

Okazuje się jednak, że z Wilnem niema żartów, — w wagonie restauracyjnym nie wolno palić... Komendant zrobił ślub, że dopóki w Wilnie nie będzie, nie zapali.

Jest niezwykle ożywiony, jego zazwyczaj blade policzki, różowią się lekką łuną. Na skroniach lśni wypukły system żył, a brwi ustawicznie drżą w wesołych, niemal drapieżnych półuśmiechach. Na przeciw Piłsudskiego siedzi piękny pan Osmołowski, zacny pan Prystor i pan Raczkiewicz. Wszyscy zaciągają z litewska.

Na ogół mówi się jeszcze o warszawskich nowinach i sprawach, ale raz wraz rozmowa ta urywa się. Komendant wzywa to tego, to owego specjalistę... Kiedy przejdą wszystkie transporty z piechotą, jak jedzie artylerja?...

Czy chleb i żywność w porę nadąży?... Jak stoimy z amunicją?... Kiedy Belina dostanie swoje wagony z owsem?... Czy można rozmawiać hughesem z Warszawą?...

Jest to właściwie—zbieranie cugli w rękę... Ostateczne ułożenie wszystkich kolejności na szerokim polu działania od Baranowicz po Wilno.

Jedziemy, wielkim, smutnym krajem. Po obu stronach płynie szara równina... Nizkie, ślepe chaty, jakaś droga urwana, jakieś, światło tonące samotnie w mrokach. Na niebie zamek chmur, który się rozpada w nicości zagasłego dnia... I znów tasiemeczka kusej steczki, biegnąca cicho od głośnego wagonu w pochyłą szarzyznę pól.

Ciągle mijamy długie transporty wojsk. Wagony, jak ciężkie ptaki, robią na wietrze czarnymi skrzydłami sośniny, z uchylonych drzwi wozów bucha śpiew młodych rekrutów, a w różowych spoconych kłębach jednookiej lokomotywy, rzekłbyś sama krew kipi... Albo wyprzedzamy długie, tak ciche, iż zda się, zadumane pociągi artylerji. Armaty węszą przestrzeń w górę zadartymi lufami, koło których niby skrawki nocy, chwieją się czarni kanonierzy.

W pociągu wre normalna praca sztabowa. Oficerowie operacyjni ślęczą nad szeleszczącymi mapami, na których koło Lidy, Baranowicz i Wilna, rzekłbyś czarne i niebieskie kłosy, wiją się strzałki różnych kierunków marszu. Telefon woła z wagonu do wagonu, a w plutonie osłony, złożonym ze skautów, wszystko, jak w polu. Któryś z żołnierzy dłubie coś koło puszki z konserwą, jedni śpią, drudzy gonią młodymi oczyma drżące w głębokościach nocy, czerwone iskry lokomotywy.

Obudził mnie ostry, wojskowy głos raportujący ilość bataljonów, baterji, szwadronów. Wyjrzałem przez okno...

Był wczesny ranek. Przez mgłę, czy parę lokomotywy

szarzał równy gont czapek, prezentującej broń, kompanji honorowej. W pośrodku stał generał Szeptycki i równo, wyraźnie składał raport... Piłsudski naprzeciw w płaszczu w rękawiczkach, przy szabli... W głębi rozbity dworzec z polskim napisem „Skrzybowce". Poodal, na klombie, dzwoniło uzdą kilka koni i dyszał spocony samochód, Dalej żółta droga, kilka chat, przysiadłych we wgłębieniu, ciemny kraj lasu, dwie białe wieże jakiegoś kościoła...

W pierwszej chwili zdawało mi się, że śnię... Mgła, czy para, raz w raz przesłaniała dowódców. Szary zrąb piechoty, to się twardo wyszczególniał, to nikł. Lub znów widziałeś dokładnie twarz każdego szeregowca i każde drgnienie ust generała Szeptyckiego, rzucającego w senną ciszę poranka cyfry bataljonów, szwadronów, baterji. Zaś w okrągłym, ogromnym szkle powiększającym, które adjutant generała, Stamirowski, zawsze za nim nosi, odbijały się leniwe chmury litewskiego nieba, podobne w kryształowym przezroczu do pulchnych naleśników.

Wkrótce nadjechał generał Lasocki, mąż średniego wzrostu, o twarzy zsieczonej wiatrem i mrozem w siateczkę czerwonych żyłek. Jeszcze za chwilę generał Rydz-Smigły taki sam, jak zawsze, lekko uśmiechnięty, silny i spokojny.

Generałowie poszli na naradę do Komendanta, myśmy zaś przysłuchiwali się z żywą ciekawością procesowi, jaki powstał między podpułkownikiem Beliną, a szefem sztabu generała Lasockiego, kapitanem Wolffem, o baterje. Otrzymały już rozkaz te baterje, czy nie otrzymały, — tak, — ale można je zawrócić, — nie, — już są zadyrygowane gdzieindziej...

Kłótnia o baterje, o jeden, drugi bataljon rezerwy, to charakterystyka wielkiego przedednia bitwy w każdym sztabie. Kłócimy się już całą gromadą. Ciągle przecho-

dzą obok, wzywani do Naczelnego Wodza, odnośni referenci. Mistrz polskiego kolejnictwa wojskowego major Brzozowski, w skórzanym kubraku, kroczący rozważnym krokiem Sherloka Holmesa, — podpułkownik Stachiewicz, kwatermistrz Roztworowski, który tyle ma kłopotu z chlebem.

Jadą pełne wagony. Chleb w nich stoi kolumnami, jak świeża cegła w cegielni, ale tego wszystkiego zamało... Zwłaszcza że aparat hughesa jakoś jeszcze nie działa, połączenia telefoniczne z najbliższą stacją nie funkcjonują. Każdy pociąg puszcza się jeszcze na „warjata"...

Dwa transporty wysyłamy — objaśnia kolejarz wyraźnym lwowskim akcentem, — i czekamy, aż jeden wróci, wtedy znowu...

Połączenia telefoniczne, hughes, transporty... Jakże dokładnie widać teraz ryzyko wielkiej operacji bojowej. Jedno niedociągnięcie, jedna niedokładność, a najlepszy plan przemienić się może w klęskę...

Belina tłucze prętem po cholewach, że, jak nie dostanie owsa,—nie ruszy... Konie od wczoraj stoją o suchym pysku...

Nikt w to nie wierzy, każdy wie, że napewno żarły, że tam jakiś zapas jest,—któryż ułan miał kiedy dosyć owsa?!.. Ale ostatecznie trudno, by brygada kawalerji ruszyła marszami kilkudziesięciowiorstowemi, bez furażu, nie nakarmiwszy koni...

Dziś rano miało przyjść piętnaście wagonów owsa... Ciągle ktoś wygląda w stronę, skąd nadchodzą transporty. Nic,—cisza... Sosny machają gałęziami nad torem, wrona jakaś przeleci po plancie...

Na dobitek tego wszystkiego dowiadujemy się, że most na rzece Dzitwie jest zerwany. Dłubie tam koło niego jakichś dziesięciu ludzi, wydziwia tam podobno nad nimi,

jakiś wyższy oficer od saperów, — ale ileż tego mostu uciupią przez dzień?!... Most musi być gotów pod ciężkie wozy jutro o świcie...

Major saperów, szuka gorączkowo po całym froncie jakiejś kompanji saperskiej, szuka konno, samochodem, wszystkich spotkanych oficerów łapie za guzik, ale któraż grupa, dla powszechnego dobra, pozbawi się swej własnej saperskiej kompanji?..

Wreszcie znużony bezowocnymi wysiłkami rzuca się oficer saperów do aparatu.

W telefonie słyszysz grupę Zaniemeńską i zwołujące się baterje i ogonek, dywizyjnej dyspozycji i kłótnie taborytów i jakąś komendę pułku. Zaś od czasu do czasu nagłe zrospaczone wołanie: Nie przerywać! Rozmowa sztabowa! Nie przerywać!

Belina chlaszcze się prętem po cholewach, owsa jak niema, tak niema... Istotnie, jakże to będą szły te konie bez owsa przeszło sto kilometrów...

Ostatecznie, w miarę rosnących niepokojów dnia, powstają dwie szkoły. Jedna twierdzi, że wszystko idzie normalnie, druga, że kto wie, czy nie lepiej było?... Tak, ma się rozumieć, takie rzeczy trzeba było inaczej przygotować... Trzeba było wpierw zwieść zapasy żywności, amunicji, a potem dopiero pchać transporty z wojskiem...

Wyznawcy tej szkoły patrzą z troską i współczuciem na nowo nadchodzące pociągi.

— Bo żeby to jeszcze bił się stary żołnierz— mówią— ale to przecież rekruci...

Rekruci ci jadą na wojnę z pięknym animuszem. Wszystko jest dla nich nowe, wszystko ich bawi, zajmuje, śpiewają, hałasują, czepiają się wagonów, skaczą po dachach, jak małpy czepiają się drzwiczek, stopni.

Rozpytujemy urzędników o kolejność transportów. Ja-

sne już jest zupełnie, że owies przepadł, jak kamień w wodę. No tak, no tak, na tym drobnym szczególe może się wszystko przewrócić. Uderzymy na Lidę, Nowogródek, Baranowicze a tymczasem Belina nie ruszy z miejsca. Siły bolszewickie z Wilna opamiętają się, zbiorą, ściągną i spadną na nas z północy od flanki...

Pojechałem w odwiedziny do dywizji Śmigłego, może przez ten czas, owies się sam jakoś znajdzie?..

Na kolejach, na drogach, na rozstajach widnieją jeszcze napisy niemieckie. Ostatnie znaki, ostatnie sztywne słowa strzaskanej potęgi niemieckiej.

Błoto na trakcie nie do przebycia. Ciężarowe automobile wbiły się w glinę, dyszą, sapią, warczą, kurczowo kręcą wielkimi kołami, o cienkich nerwowych szprychach, — ciągle w miejscu. Ogromne konie, zaprzężone do haubic, prężą grzbiety i aż nozdrza różowe pokazują w wysiłku. Skrajem rowu sypie się gęsiego długi różaniec piechoty.

Podjechałem dalej, znachodząc się nagle, jakby w całkiem innym świecie — tak piękne, szerokie i zadumane są te drogi litewskie... Po obu stronach rosną stare brzozy płaczące, gęstwa ich znużonych, zda się obolałych gałęzi, powiewa smugą żałobną. Trakt się uchyla, znów wynosi... Tak, jakby stąd przed chwilą odeszła nieodżałowanej dobroci pełna obecność jakowaś, za którą ziemia opuszczona tęży się sama i wyciąga...

Na prawo czyjś pałac wspaniały, w którym był szpital epidemiczny. Wszyscy dziś stronić muszą od ozdoby tych murów. Śmigły ze sztabem swym stoi w starym dworku, który jest tak piękny, tak zacisznie skulony, obrośnięty, takie ma spracowane filary podjazdu, tyle kłopotu mieści pod sklepieniem gontowego dachu!...

W dywizji praca ogromna. Tam w kadrze żaden z nas nie przypuszczał—mówi mi adjutant—że tak prędko wy-

jedziemy. Na trzy godziny przed załadowaniem nie miałem jeszcze nic w mojej kancelarji. Takiego bałaganu świat jeszcze nie widział... konie, maszyny do pisania, broń,—przecież nasi rekruci do ostatniej chwili ćwiczyli się po cywilnemu laskami. Dopiero dwunastego kwietnia oblekło się ich w mundury!!

Słuchałem tego wszystkiego w szarej, drewnianej sieni dworku, przy piecu z przepięknych kafli holenderskich. Przez drzwi widać nerwowe gałęzie owocowych drzew. Jakiś stary „Gedymin“ orze między rzędami pni, pług błyska wśród razowej skiby, czarny spocony koń, tupie po niebieskiej murawie.

Wróciłem do Skrzybowiec wieczorem,—owsa wciąż niema... Ostatecznie zdecydowano oddać cały zapas, który dla swych kilkudziesięciu koni przywiozło Naczelne Dowództwo. Starczy tego na jeden raz zaledwie, ale trudno.

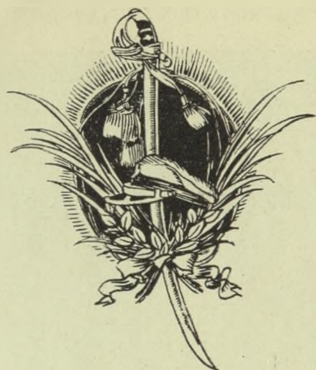
Późnym wieczorem ruszyły ku Belinie cienkie, skrzypiące podwody, aż opiekłe od grubych worków, które widniały w mroku, niby białe, wzdęte kadłuby, cierpliwie wiezione na pożarcie.

Poszedłem do wsi, skąd przybyły podwody. Wieśniacy żyją tu w nędzy ostatecznej, o chlebie prawią z nabożną tęsknotą, z jaką się mówi o wierze upragnionej. Przy blasku cieńkiego smolaka, uwieszonego nad okapem w cieniu szarych krosien, niby w mroku szarego losu, czekają wciąż na jakieś zmiany, gorzko świadomi swych nieszczęść.





Piechota polska w Wilnie.



Dnia 16-go kwietnia rozpoczął się gorący bój na całym froncie! Dziś atakujemy ostatecznie Baranowicze, dziś mamy uderzyć na Nowogródek i Lidę... Dziś odczepia się od frontu, zwróconego ku wschodowi, grupa kawalerji pod Beliną, piechota generała Śmigłego i suną razem szybko na północ.

Marsz ten jest ryzykiem ogromnym. Mogą być wzięci we dwa ognie, od wschodu i od zachodu... Lecz jeśli się uda,—to zdobędą Wilno, odcinając tyły wojskom bolszewickim, które stoją na zachód od linji miasta.

O świcie popędziliśmy samochodami ze Skrzybowiec ku frontowi, obejrzeć stan mostu na rzeczce Dzitwie. Połowa mostu dobra,—dalej zerwany... Naczelny Wódz stoi rozkraczony na zerwanych przęsłach i słucha raportu oficera, kierującego robotami.

Położenie bardzo trudne... Wojska rzucone już są po za rzekę, ten most musi stanąć najpóźniej za osiem godzin, gotów pod wielkie ciężarowe wozy,—a tu niema ludzi do roboty...

Przed nami widać wśród lasu szosę, wiodącę do Lidy, zawaloną przez Bolszewików barykadami ze starych sosen. Poodal omszały dwór, schowany w suchym pęku brzóz. Z lewa piachy i jakieś powikłane bezdroże. Deszcz tnie na wskos, słychać szemranie po liściach, a z prawej strony toczy się głucho daleki, daleki huk dział.

To Szeptycki bije na Baranowicze...

Piłsudski stoi nieruchomo na wiązaniach mostu. W szarym wojskowym płaszczu, siwiejący, o twarzy szarej, matowej, wygląda jak posąg, ulany ze śpiżu... Wreszcie zaczyna mówić krótkimi urywanymi zdaniami... Zupełnie jakby nie słyszał tego, co mu meldował przed chwilą oficer saperów.

— Już późno...—Mówi Naczelny Wódz niecierpliwie przez gęste wąsy. — Most musi być na dziś wieczór gotów... Inaczej nie zdążą tabory.

Ostatnie słowa tętnią i drżą, jakby się paliła pierś, która je wyrzuca...

Odjeżdżamy, oficer saperów zostaje na moście, sam wobec porwanych przęseł i dziur... Żaden z nas nie ma już teraz najmniejszej wątpliwości, że ten most stanie... Po tych kilku ciężkich, głuchych słowach, rzuconych przez Komendanta, napewno znajdzie się jakiś sposób...

Doprawdy, jakbyśmy się dostali w obręb dawnych, minionych snów rycerskich...

Przed chałupami dogasają ogniska, konie zebrane w wielką, przy pyskach ujętą rozetę, depcą po placu... Rzekłbyś, — całą miejscowość dreszcz wstrząsa, tak dźwięczą szable i ostrogi we wszystkich kątach i zaułkach... Ułani majstrują jeszcze przy uprzęży, a w chromych wrotach pod strzechą, tak niziutką, że poszycie jej czapki żołnierzy głaska, stoi na czele gromady oficerskiej Belina.

Naczelny Wódz pogania pułkownika... — Prędzej, prędzej, już godzinę temu powinniśmy byli przejść rzekę...

Niebo szare i mętne przynosi, aż tu huk dział od strony Baranowicz.

Tam się już biją na dobre...

Piłsudski stoi przy moście, — pułki już siadły na koń, zaraz ruszają...

Na dole wązkim, szarym meandrem srebrzy się rzeka przez rude mchy, — w górze nad nami bekas się wywrócił w powietrzu i odleciał...

Już jadą!

Jadą ułany co się od lat tłuką na koniach, przybyłe z rozbitych, umarłych regimentów różnych cesarzy strąconych, zbratane teraz oto w nowe polskie pułki... Ciepło bucha od tych szeregów, skóry uprzęży chrzęszczą, niby zwoje jagiegoś drapieżnika, podkowy głuchym gradem biją o most, głowy skręcone w stronę wodza, — dołem po rzece płynie wiosna poranka, górą po niebie toczy się jęk kanonady... Mijają plutony za plutonami, szwadrony za szwadronami, — stare kubraki huzarskie, modre portki dragońskie, czerwone bufy ułanów, siwe rajtuzy leguńskie, na szablach kaukazkie srebro, albo pruskie gardy, albo plecionka austryjacka... Cześć żołnierska grubymi paluchami przykłada się do daszków czapek, — dywizjon za dywizjonem falujący, poddaje się w kłusie humorom konia...

Zbliżamy się do wsi Myto, skąd drugim mostem, całkiem niepewnym ma ruszyć Belina prosto na Wilno... Most dudni głucho, a każdy oddział, na kilkadziesiąt kroków przed Wodzem wyrzuca wielki okrzyk: „Niech żyje Komendant Piłsudski”!

— Niech żyje Komendant, — wołają ogorzałe szóstki ułanów, aż żyły czarne prężą się im na skroniach i szyjach. I mijają w okrzyku tym, niby w gromkim obłoku sławy wojennej... Widać ich jeszcze na piaszczystym przegonie, a potem już zamknęły się za nimi rzędy brzóz... Nie słychać łomotu kopyt, tylko się okrzyk jeszcze śród mgieł przewraca, pomięszany z biciem dział od strony Lidy i Baranowicz.

Wypadło, że rotmistrz Kniaziołucki i ja jedziemy z poleceniem do generała Lasockiego. Przez telefon nie sposób dogadać się. Rekruci źle łączą, sznurek za sznurek zaczepiając, — bigos, kasza, — nic nie słychać...

Rypiemy samochodami przez kulawy mostek na rzeczce Dzitwie, sosnowym zagajnikiem i wielką szosą, nad którą już tańczą białe łby armatnich pocisków.

Tu dwóch szeregowców, tam znów jeden, znów ówdzie jakaś gromadka, oberwana, spłoszona, wymięta...

— Co jest? Skąd?...

— Porucznik zabity... Nasz komendant kompanji zabity... Podporucznik ciężko ranny...

— Z której jesteście kompanji?...

— Z siódmej.

— Z którego pułku?

— My z Suwalskiego pułku... Nas rozbili...

Tych rozbitków spotyka się w każdym boju. To są ci najsłabsi. Wodzą się wzajem za linją walczących, świadczą sobie żałośnie i odprowadzając się po dwóch, po trzech i roznoszą hjobowe wieści.

Samochód ugrzązł w błocie, biegniemy ku wsi. Pusto

zupełnie, niby w niedzielę, czy w wielkie swięto... Rzekłbyś cała ludność wyszła. Ona zaś nie wyszła tylko przycupnęła tam i sam, wystawiając czujki. Oto tu pod krzyżem stoi chłopek, kijaszek, jakiś czarnymi pazurami z kory odziera. Owdzie przed chatą majstruje przy płocie inny chłopek. Niby zajęty okrutnie swą robotą, a tymczasem — patrzy, słucha, węszy, — kto kogo zmoże...

Tuż przed wsią spotykamy oddział jakowyś osobliwy, rzekomo cywile, bo w płaszczach, melonikach, w długich spodniach miejskich, a z gwerami na ramieniu...

— Coście za jedni?

Rekruci, którzy się spóźnili, tu za pułkiem przyjechali, teraz nie mogą czegoś znaleść i przebiegle wracają skąd przyszli.

We wsi cisza, kogut gdzieniegdzie zapieje.

Trzeba się dowiedzieć, czy to Cibory, czy nie? Musimy przecie znaleść generała Lasockiego, — może w tych Ciborach nareszcie!..

Na wrotach znaczniejszej chałupy wieje szmata z czerwonym krzyżem. W izbie duszno, o — o! Tu też zanosi się na cofanie, albo nawet na cięższy los... Siostra w kwefie, ręce bezradnie złożone na podołku... Ksiądz wszystkie odznaki swego urzędu trzyma na widoku, z pewną ostentacją...

Choćby nagle wpadli „oni", to przecież odrazu zobaczą — ksiądz i basta... A doktór nad małym puzdrem, z którego wyzierają krępe flachy jodyny, pije herbatę i słucha rannego oficera, siedzącego za stołem.

— Myśmy się dostali we flankowy ogień panie kolego— mówi oficer, żółto siny ze zmęczenia, — atakujemy od świtu... Zalewski podporucznik, dowódca kompanji... Osiało go całego kulami... Kompanja się rozleciała...

— Rozleciała się? A któż tam strzela przed wsią?—Ogień idzie doskonale jędrny, głośny...

Wyszliśmy z chałupy, rotmistrz się złości na oficera, ja jestem kulturalniejszy: powiadam — daj spokój, jakby ci gnata przetrąciło, to też byś się nie cieszył...

Tymczasem na niebie się wyjaśniło, słońce skrzy na czarnych, suchych drzewkach, glina rozoranych ugorów, aż się poci od ciepła...

Rozważamy... Czyby się może sypnąć do komendanta tego Suwalskiego pułku, majora Mackiewicza... Mackiewicz stoi, tuż przed Lidą w Ostrowli. Machnąć się szosą przez szrapnele, przyczynić się jako tako do awantury, z rozkazikiem wyrywać do jakiejś kompanji i gadać z porucznikiem, wrzeszcząc, z ustami przy uchu, podczas gdy kule tną gałęzie nad głową...

Ten oficer z opatrunkowego punktu mówił, że pułk Suwalski stracił flankę... Że bolszewicy już podchodzą pod nasze baterje, są już na 50 kroków....

Lecieć do tych baterji, po drodze myśleć sobie z uśmiechem, — lecisz durniu do baterji... Szukać jakiejś ostatniej myśli, meldować coś, nie mogąc złapać tchu i kląć że zawsze się lezie gdzie nietrza, — a obiadu naturalnie już ci nie zostawią na kwaterze koledzy... Łajdaki!..

Rozważamy jeszcze... Jak jest rozkaz szukać Lasockiego — to szukać! Wracamy szosą, znów lasem, — i jeszcze szosą. Wielkie, białe czupryny bolszewickich pocisków strzępią się nad sosnami, — a z boku przez las rżnie któraś nasza baterja, splątana, zmierzwiona, zgoniona... Konie dudnią po ściółce, żelastwo dzwoni na alarm, ludzie okopceni od dymu, że aż im białka lśnią niesamowicie...

— Co jest panie kolego? — Pytamy oficera, prowadzącego baterję.

— Piechotę przed nami rozbili, ledwom wyciągnął armaty, bolszewicy zachodzą z flanki, dwa dyszle mam strzaskane, — zmieniamy pozycję!..

Kto zna bitwę ten wie, co to znaczy, gdy już z samego początku artylerja musi zmieniać pozycję... To znaczy, że nasza piechota ustępuje, że nieprzyjaciel rozwija gwałtowny kontratak, a artylerja jego zmacała już porządnie stanowisko naszych baterji...

Jedziemy przez most na Dzitwie, akurat koło miejsca, gdzie się bekas w powietrzu wywracał, — do wsi Myto. W Mycie już pełno piechoty. To generał Smigły maszeruje. Jego samego jeszcze niema, ale już są oficerowie jego sztabu.

Piechota sypie się cierpliwie, nie mają się co spieszyć, każdy dobry piechur przecież wie, że prawdziwa bitwa zawsze na niego poczeka.

Raportujemy generałowi, co i jak, że Suwalczan przetrzepały bolszewiki od flanki, że major Mackiewicz stoi w Ostrowli, że Suwalczanie szturkają w Słobudkę, (przedmieście Lidy), ale że to ciężko idzie, żeśmy po drodze spotkali baterję naszą, zegnaną z pozycji, że ta baterja z połamanymi dyszlami szła na Cibory... Ze nie ma czem strzelać...

Położenie Smigłego jest bardzo trudne. Wprawdzie od północy atakuje już Lidę major Trojanowski bataljonami 4-go pułku legjonowego, ale niech się ten atak nie uda — to Smigły ze swą dywizją niema wyjścia...

Ale Smigły, to prawdziwa pociecha żołnierskiego serca! Słucha naszego troskliwego gadania, częstuje papierosami, pozwala równocześnie oglądać śliczną szpicrutę, którą dostał na imieniny od oficerów Kowelskiej Grupy i oczyma czarnymi, jak tarki, wodzi po otoczeniu, najspokojniej...

Są w muzeach, takie posążki empirowych generałów. Duże buljony na ramionach, klapa płaszcza generalskiego twardo pod brodą odłupana, a twarz młodziutkiego chłopca, stanowcza, piękna i zawzięta...

Pytamy przy sposobności, czy nie widział gdzie generała Lasockiego.

Nie, nie widział, a sam pomaszeruje dalej w myśl rozkazów...

Jedziemy wolno przez maszerującą dywizję generała, którą wszędzie łatwo poznać po ślicznych napisach na wozach, stylizowanych na wzór Jastrzębowskiego... Sami starzy znajomi z pod Konar, Wołynia, Kołodzieji, z nad Styru...

Przy którymś bataljonie „mają szpasa" z dwoma chłopakami, którzy się przypytali do dywizji w ostatniej chwili z Warszawy. Są to roznosiciele gazet z pod Loursa... Oberwani, jak dziady z torbami na plecach, uganiają wśród szeregów, ciesząc cały bataljon.

— Jakiego guza tu szukasz jeden z drugim?

Strzepnęli łachmanami, podciągnęli nosami i dalej polecieli...

Z Myta ruszyliśmy z powrotem do przerwanego mostu w Podzitwie, aby się czegoś dowiedzieć o generale Lasockim we dworze.

Ileż tu zmian! Ciche do niedawna, kroplami rosy dźwięczące ściany dworku rozbrzmiewają teraz hałaśliwym gwarem żołnierzy. Pełno ich wszędzie. W bawialni urządzili stację telefoniczną. Więc przy oknach cała pajęczyna grubych drutów, na stole aparaty, pod ścianą rynsztunek zwalony, a między nim chleby i otwarte puszki białego smalcu. Pod piecem rząd materacy starych i wyjedzonych, na których śpi jedna zmiana telefonistów.

W korytarzach dudni od grubych obcasów, jadalnia, kancelarja, przemienione na szpital, wszędzie zaś za żołnierzami, za chlebem i smalcem pętają się gromadki wynędzniałych dzieci.

Każemy się połączyć ze Skrzybowcami przez sąsiednie

stacje. Tutaj, przy aparacie, bitwa przeistacza się w głośne bzykanie komarów... Brzęczek drży i powtarza — bezskutecznie.

Ogarnia mnie nagła, niespodziewana radość... Zauważyłem bowiem, że telefonista mówi miękkim narzeczem z białoruska, ja mu nad uchem zaciągam po krakowsku, nasz szofer „śpiwa" po lwowsku, zaś w aparacie odpowiada nam, czy doczepia się do naszej rozmowy jakiś poznańczyk, akcentujący jedną i tę samą nazwę wytrwale z niemiecka.

Ktoś nam mówi, ale już nie pamiętam kto, że generał Lasocki z pierwszymi tyraljerami właśnie w tej chwili wpadł do Lidy, — tu go nie znajdziemy.

Na szosie między podwodami posuwa się wolno auto oficera sztabowego Naczelnego Wodza.

Otrzymuję zlecenie, aby zobaczyć, jak się rozwija atak od północy na Lidę, które bataljony Smigłego przeszły już i t. p.

Wzamian chcę się dowiedzieć, co się dzieje pod Baranowiczami i pod Nowogródkiem...

Zdaje się że tam idzie bardzo ciężko.—Samochód punktuje każde słowo srogim warczeniem. Zresztą nie mamy żadnego połączenia... Teraz jedyny środek łączności to samochody. Wszystkie samochody, nawet powóz Komendanta z tą śliczną parą siwych koni, którą jeździ po Warszawie, wszystko zmobilizowane.

Jadę przez most, traktem, którym parę godzin temu przeszła kawalerja i Smigły. Mijamy baterje przydzielone do Smigłego, jakieś jaszczyki ciągnące po bruździe, na gwałt w stronę naszych ciężkich haubic, które od Zapola grzmocą w koszary Lidzkie. Całe rzędy małych, ciężko wyładowanych wózków z prowiantem i amunicją dla drugiej dywizji legjonowej.

Samochód rżnie przez błoto pełną siłą. Słucham z roz-

koszą wielkiej bitwy. Od południa dochodzi, aż tu jęk dział grupy Szeptyckiego, słychać wyraźnie straszliwe, równe śmiechy karabinów maszynowych z Lidy... A blizko, wyraźnie już dochodzi, aż tu, potworna czkawka naszych haubic, strzelających na skrajach lasu przed Zapolem.

Po drodze coraz częściej pojawiają się ranni. Krew przesiąka przez białe bandaże i kapie na glinę.

— Z którego pułku?

— Z czwartego legjonowego.

— No i co, — do ciężkiej cholery?

Smieją się wesoło spiekłemi wargami. — Wzięliby my tego pancernika, ale że nas zamało!..

Opowiadają o dwóch pociągach pancernych „które se jeżdżą po torze przed Lidą, tam i nazad i dostąpić do siebie nie dają".

— Myśmy myśleli z początku, że tam żydy siedzą... Jakieściś czarne, w długich kabatach, — a to matrosy złodzieje...

Jadę dalej, koła już ledwo błoto miętolą... Teraz oprócz ciężkich, słychać zażarte ujadanie polówek rozwścieczonych...

Nagle huk się rozległ olbrzymi, huk od którego chyba cały front mógłby zamrzeć... Później się dowiedziałem, że to właśnie kapitan Domański ze swoją baterją wyrżnął w wagon pyroksyliny i zniszczył pociąg pancerny. Wybuch ten słyszano daleko. Maszerując na północ ułani i dywizja generała Smigłego nie wiedziała, co się stało...

Mój samochód ostatecznie zarył w błoto. Zsiedliśmy razem z pomocnikiem... Szofer puszcza parę, my, po kolana w błocie, pchamy wóz, — ani drgnie... Koła się w glinie wiercą, jak przy zepsutej zabawce, ze szprych zaciereczką gęstą gruda pryska na boki — ani weź... Niebo całe kołysze się od bitwy — a ty tu paraj się z tym

omnibusem... U jednego wylotu drogi, u drugiego nic — sosny wieją gałęziami — i nic...

To ci są drogi, to jest kraj!..—Mickiewicz ze swoją Litwą gimnazjalną...

Nadciąga jakaś artylerja...

— Panie poruczniku, panie kolego,—zaczynam ryczeć— możeby tak pańscy ludzie!.. Auto Naczelnego Wodza... Telefony nie funkcjonują, żadnej łączności...

Cała obsługa, kilkunastu artylerzystów, jak dębów, stanęło w błocie po kolana. My oficery razem z nimi... Zaparliśmy się, dech wzięli, jęknęli...

Auto wybrnęło z błota.

Ale ledwie baterja przeszła, gdy oto automobil znów zapada cicho i wsiąka, aż po stopnie...

Teraz we trzech budujemy, jakieś zmyślne rusztowanie. Niebo huczy od bitwy, karabiny maszynowe prują i prują, a ty tu człowieku patyczki pod tego Molocha podstawiasz i z błota się ratować musisz zamiast walczyć... Nareszcie znalazło się pod ręką trochę ludu... Chłopy chwalą Boga, ruszają ramionami i podciągnąwszy portek, znów razem z nami dźwigają, razem ze skóry wyłażą,—nic...

Deszcz, jak ciął po ceratowych poduszkach auta, tak tnie dalej.

Nadjeżdżają jakieś kuchnie polowe, odprzęgamy szkapy, ale koniki mądre, na sam widok automobilu kładą się w błoto z rezygnacją.

Nareszcie dokonały dzieła zaprzęgi I-go pułku legjonowej piechoty. Pożegnawszy przesadnemi wiwatami na cześć pułku dzielnych kolegów, wróciłem do wsi Myto...

Wieczór się już rozpoczynał. Po wsi snuli się ranni, drogą mijały ciche wozy, okryte zmiętemi, okrwawionemi płaszczami żołnierzy... Stąd i zowąd ludność się już jęła pokazywać przepłoszona.



Po uroczystym „Te Deum“ w katedrze Wileńskiej, Naczelny Wódz na czele wojska.

Piłsudskiego spotkałem na drodze. Dowiadywał się o bataljony, mające nadejść jeszcze. Był znacznie podniecony. Niebieskie jego oczy, wezbrane całodziennym bojem, rzucały siwy, ostry blask, na policzkach płonęły rumieńce.

Dowiedziałem się od adjutantów, że już trzy razy piechota nasza była w mieście i za każdym razem musiała się była wycofać... I straty... Suwalski pułk mocno poszarpany, czwarty legjonowy niemniej... Sporo oficerów wybitych...

Sypiemy szosą do Suwalskiego pułku, do Ostrowli. Niebo już zachodzi czerwienią, bój rzekłbyś już dogasa.— Bój już kona...

Strzelanina piechoty, przenosi się z miejsca na miejsce prawie bezskładna. Artylerja pracuje jeszcze, ale już z trudem widocznym. Trzyma niby pod ogniem jakiś punkt zamyka rzekomo jakieś drogi, ale to już raczej dla honoru, niż z praktycznym sensem... Ognista pierś boju, wyczerpana jest i ledwie tchnie... Od linji tyraljerów coraz prowadzą jakiegoś rannego. Wraca z boju biedny i pomięty strzępek, chroma i kuśtyka...

— Nam porucznika—zabili—powiada—my nie znamy „curuk"... (zurück). Poszlimy do kontrataku po ciało naszego porucznika... Taki był wesoły... Mnie palec odstrzeliło, ale biegłem... Dopiero już, —jak w rękę...

Meldujemy się nareszcie w grupie Zaniemeńskiej.

Generałowi Lasockiemu żyłki na twarzy pociemniały na czarno...

Z pośród ich siatki cieniutkiej świecą oczy zmęczone, pilne... Przy chałupie gromadka oficerów...

Po szosie tłuką jeszcze Rosjanie szrapnelami, od strony Lidy trzeszczą wystrzały piechoty, zajeżdża Naczelny Wódz, generał leci na przeciw, my w przyzwoitem oddaleniu...

Piłsudski komunikuje generałowi, że rzuca na ten odcinek ostatnie bataljony rezerwy, pod doskonałym oficerem, majorem Biernackim.

Ostatnie rezerwy... Ostatnia energia i wysiłek... Jeśli te rezerwy „swego nie zrobią"? Jeśli trzaśnie nasza linja pod Lidą, co zrobi Szeptycki, jak będzie wyglądać Śmigły, który już przeszedł rzekę z wszystkiemi taborami?.. Niepodobna nie przeżyć bodaj w myślach możliwości niepowodzenia... A jeśli... Jakże się wówczas cofać?.. Tą jedną zatkaną doszczętnie linją kolejową?

Piłsudski, jakby sobie zupełnie z tego nie zdawał sprawy... Stoi z majorem Mackiewiczem i wysłuchuje raportu młodego podchorążego, który właśnie wrócił z linji. Ci podchorążowie ze szkoły Kukiela, to sam miód!.. Młody oficerek stoi na baczność, jak anioł, wykłada jasno, prosto, pot mu się perli na skroniach, policzki, aż cynobrowe od bitwy, oddycha równo, mocno, że rzemień od karabinka, przez piersi przeciągnięty chrzęści tak wyraźnie...

— Trzeba też spowodować ogień artylerji, — mówi Komendant.

Niema amunicji... Mam połączyć się ze Skrzybowcami, — niech wyślą sześćdziesiąt ładunków, ostatnich, które są gotowe. Albo 60 brandli, sześćdziesiąt woreczków z prochem...

Nadjeżdża major Biernacki, dowódca 5-go pułku piechoty Legjonów. To on właśnie z dwoma bataljonami piechoty legjonowej ma w nocy, — najpóźniej nad ranem, uderzyć na Lidę od południowego wschodu...

Radzą z generałem Lasockim.

Twarz młodego majora w miarę, jak dowiaduje się o powierzonym sobie zadaniu, ściąga się i ostrzy coraz wyraźniej. Nos mu się nagle wykończył w szpic, wąz-

kie czerwone wargi rozchylają się kształtem cieniutkich nitek, a bystre gładkie spojrzenie niebieskich oczu, staje się zimne i przezroczyste.

Pewno, pewno, — nie takie obejścia, nie takie szturmy przeprowadzał ten srogi oficer, o łagodnej postaci chłopaczka... Ale i teraz, chociaż to już w porównaniu z dawnem nic wielkiego, gdy powierzają mu zadanie stanowczego ciosu, — odrazu kipi mocna krew piechura...

— Tak jest, Komendancie, — tnie szybko, suchy tenor majora, — bataljony już będą chyba na szosie...

Zaczęli się umawiać co do szczegółów, tymczasem Piłsudski pożegnał sztab generała i szedł już, krwawiącą w zachodzie szosą prosto na strzał, do linji ognia, ku słabnącym z trudu żołnierzom Suwalskiego pułku.





Nasza artylerja bije z przedmieść do nieprzyjaciela, szwadrony gonią go, piechota od rana rozpiera się w domach, wozy huczą gromko, — jesteśmy w Lidzie...

Małe, jednopiętrowe miasto, poprzerywane parkanami. Na ulicach, w zaułkach, leżą jeszcze trupy naszych i nieprzyjacielskich żołnierzy. Dzień jest szary, wietrzny, czasem łyśnie biały promień słońca, to znów upada.

Ulicami maszeruje piechota, rekruty tłuką stopami o bruk, aż strach bierze, jakie twarde wojaki!.. Orkiestra któregoś pułku wyczynia coś dziwnego na pordzewiałych trąbach,

w których osobliwie starczo drży młody dech trębaczy. Jadą też nasze artylerje i nasze tabory. Całe nasze bogactwo wojenne wznieca marsowy hałas wsród koślawych uliczek.

Ludność czepia się oddziałów, wozów, koni, nieśmiało lękliwie, niemal nabożnie...

Nikt jeszcze nie widział takiej ludności... Gada ona śpiewnym narzeczem, polskimi słowami, jak może inkrustuje tę ciągliwą, kresową swą mowę... A wygląda, — jakby wykrojona z woskowego płótna. Takie to pomarszczone, zleżałe, głodne...

Pod kościołem, którego białe ściany gnębi ochrypły głos zaziębionych organów, gromady przeróżnych matadorów miejscowych obstępują oficerstwo. Wielkie świadczenie honorów, dworskie szurganie dziurawych podeszew po bruku, polonezowy wyrzut łokcia w szanownym rozmachu i że, — gdybyście panowie tu nie przyszli, toby się już wnet zrobił koniec świata... A tymczasem przyszło swoje wojsko, — Polskie Wojsko na święta Wielkiej Nocy...

Tak rzecze łyk, ten, ów i tamten i znów nie wie, co więcej ma powiedzieć w tej niesłychanej radości, oddech i głos przerywającej.

Nagle rumor się robi między łatanymi kapotami, z pośród których przeciska się prosto ku nam, na wysokich pogiętych butach, stara bronzowa katana, nakryta maciejówką, wspartą o wielkie białe uszy...

— Ja jestem, proszę panów oficerów, — mówi starowina, uchyliwszy czapki, — ostatni powstaniec 1863 roku, pułkownik...

Dajemy „baczność" panu pułkownikowi, który koniecznie stara się wyprostować i jeszcze bardziej się chwieje na zgiętych w organki portczętach.

— Tak jest, ja stary powstaniec 63 roku, doczekałem oto tej chwili, — niesie drżący, kazalny głos...

Wybladłe spojrzenie pełga po naszych twarzach, w bezgranicznie szczęśliwym zdumieniu dotyka naszych mundurów...

Zapewniamy pana pułkownika, że,—jako emeryt wojsk polskich, bo to wszystko panie pułkowniku jest jedno i to samo wojsko polskie,—ma prawo noszenia naszego munduru.

Przerywa tę rozmowę sztab generała Lasockiego, lokujący się naprzeciw kościoła w Grand Hotelu, gdzie jeszcze wczoraj stał sztab bolszewicki.

Czuć tu jeszcze nieprzyjaciela... Inny zapach chleba, kawy, inna woń papieru. W niedopakowanych skrzyniach mnóstwo rozkazów, dyspozycji i wszelakiej pisaniny wojskowej...

Sztab generała Lasockiego nie czeka... W obłokach kurzu, w szeleście mioteł syczących na korytarzach, zaczyna się już nowe urzędowanie.

Tu dowiadujemy się, że siódmy pułk ułanów uderzył na cofających się bolszewików z Lidy od tyłu i rozbił ich pod Lipniszkami.

Gdyśmy zeszli na dół, stała już między kościołem, a hotelem długa kolumna jeńców bolszewickich. Na czele kolumny kilku oficerów, doktorów, — między nimi jedna kobieta sanitarjuszka.

Ubrana była w rosyjski „szynel“ pod szyję zapięty, na nogach płytkie pantofle. Jej bardzo piękną, jasną twarz zdawał się mącić niepokój...

Podszedłszy, spytałem o powód tego niepokoju.

— Czy to prawda, że nas wszystkich mają rozstrzelać?

Zapewniłem ją, że to absolutnie jest nieprawdą. Polacy zawsze uważali żołnierzy, wziętych w boju z bronią w ręku, za jeńców wojennych jedynie.

Pani tej, jej towarzyszom i pierwszym czwórkom jeńców oddaliśmy wszystkie papierosy, jakieśmy mieli, ku niemałemu zgorszeniu ludności, stojącej za kordonem wart.

Te warty raz wraz odsuwają kolumnę, tłum się ugina co chwilę, — bo oto wjeżdża w bramę kościelnego podwórza nowy wóz, pełen naszych poległych żołnierzy. Wygląda on zdaleka, jak wóz kopiasty, słany wysoko zeschniętą, szarą, prawie niebieską koniczyną...

Dopiero z blizka widać szare mundury, skurczone ręce i blade twarze żołnierzy, reszteczką światła martwyeh oczu zapatrzone w niebo...

Trupy te układa się rzędem na murawie kościelnej. Jest ich już sporo, zaś wóz, który teraz przyjechał nie jest pierwszym, ani też nie jest jeszcze ostatnim...

Przy samym murze stoją mary z żołnierzem, nad którym znęcali się bolszewicy... Ktoś usunął płachtę z rozbitej głowy i z rozerżniętych piersi, z których nieprzyjaciele wyrwali serce. Straszliwy widok... Trudno opisać i zaprawdę, nader ciężko pamiętać go...

Kobiety, dziewczęta, mieszczki, wciąż wiankiem stoją dokoła i wciąż płaczą nad tym polskim żołnierzem.

Z kościoła wyszliśmy na miasto. Na każdym kroku uderza niezmierna ilość afiszów i plakatów, jakby zjechał niedawno do Lidy ogromny cyrk. Korony monarsze po tle tych afiszy lecą, niczem zwiędłe liście, chłop w czerwonej rubaszce na każdej rycinie ścina stugłowe hydry, a wyzwolone rzesze rozmaitych niewolników pełzają po nim, na podobieństwo robactwa.

Wstąpiłem na jednej z ulic do biura propagandy bolszewickiej. Poprostu przypuścić trudno, że w tak małej mieścinie, można było zgromadzić tyle „wybuchowego" papieru... W dawnej szkole (czy też był to gmach rady powiatowej) piętrzyły się całe złomy, całe czworogranne skały prasowanych numerów „Młota",— białe, czerwone, zielone filary odezw... Dalej przekłady Dickensa, klasyków, pstre grzędy rozmaitych historji sztuk, kultur, prześliczne wydawnictwa najmłodszych malarzy rosyjskich...



Pogrzeb żołnierz z 5-ego p p., 1 p. szwol. i 11 p u. poległych w walce o Wilno.

Obok za oknami tego składu cuchnie gnojówka, podłoga schlapana atramentem, na ścianach zgniłe plamy wilgoci...

Doświadcza się potwornego wrażenia, patrząc na te olbrzymie zapasy zadrukowanego papieru, zgromadzone tu dla ludzi nie umiejących czytać... Jakby ktoś niesłychanie przewrotny rozpoczął złośliwą, zabawę obliczoną na to, że ludzie zamiast chleba zaczną jeść papier...

Wracając stamtąd ku kościołowi, przechodziłem około prawosławnej plebanji. Na werandzie przy drzwiach stał sędziwy pop, żółty, jak bywają bizantyjscy święci, w długiej, fijoletowej szacie i futrzanym kołpaku.

— Czy pan rozumie po polsku?—spytałem podszedłszy ku niemu.

— Jestem Polakiem, — odpowiedział, skubiąc ciemny skraj swej sukni.

Ogarnęło mnie zdumienie.

— Jakto, — Polakiem?..

Nasze spojrzenia spotkały się... Spłowiałe, prawie już srebrne źrenice popa jęły nabiegać drżącym tonem płochliwego ciepła, zaś w końcu cała twarz zwiędnięta i żółta okryła się tym bladym rumieńcem, jaki dogorywa późną jesienią na liściach, dawno już z drzewa opadłych...

— Dziś w nocy mało mnie nie zabili wasi żołnierze... Skoczył, sztyk do piersi przystawił... Ty chowasz Bolszewików!..—krzyczy...—Nie chowam dziecko!..—Mieszkam tu od tylu, tylu lat.

— No tak, skąd że nasz żołnierz miał wiedzieć...

— A jednak zawierzył mi... Sama krew powiedziała... Zresztą rodziny już nie mam... nikogo... Ot stoję na tym progu, — chciałbym jeszcze zobaczyć Piłsudskiego... Mówią, — wielki człowiek i wielki wojownik...

Objaśniłem starca, że o ile przyjedzie kryty samo-

chód, karetka, to tą karetką jeździ Komendant. — Napatrzy się to miasto dzisiaj...

— Lida to stare, stare miasto, — przytwierdził pop, — ono już tyle widziało. Czy był pan na górze na zamku?

— A co to znaczy Lida? Na jakąż pamiątkę miasto to tak się właśnie nazywa?

Odpowiedział, że to litewska nazwa i że Lida po litewsku znaczy — wyrąb w boru sosnowym.

— Wyrąb w boru sosnowym!.. Ach tak, — tu gdzie teraz walczymy, gdzie śpiewającą falangą idą nasze bataljony, gdzie dudni nasza armata, huczy wóz i pędzi koń, — stał kiedyś bór... A potem ludzie wyrąb cięli, a potem się tu powoli budowali... Opadła mnie nagła kochana cisza zmienności długich dróg i trudów i cierpień ludzkich... Jakoby sfrunęła tu ku nam nagle wielka niepowrotność rzeczy przeszłych i słodycz tego wstydu, który ostatecznie zdobi starczym rumieńcem puste lata nieprawdy i przestrachu.

Ale oto z pod kościoła machał już na mnie kolega, że jest jedzenie!

Jedliśmy z generałem śniadanie u zacnej, wielce wymownej mieszczki dobroczynnej, która dnia tego na wyścigi świadczyła nam—i żywym i umarłym... Bowiem w sklepie do połowy lady szedł handel wielkanocny, na drugiej zaś połowie urządzony był ołtarzyk, przed którym leżał, przygarnięty z ulicy trup naszego żołnierza, obłuczony starannie w czyściutkie białe całuny. Twarzą cierpko uśmiechniętą patrzył w drzwi, otwarte do alkierza, gdzieśmy drżącymi z głodu rękami krajali czarny chleb, kruszyli ser i podstawiając spore kromki razowca, cierpliwie cedzili wonny złoty miód.

W tem zagrzmiał wielki głos trąb, roznoszący po mieście hasło, że się uroczystość zaczyna u Suwalczan.

Suwalski pułk w wązkiej ulicy przy rynku, pod cięż-

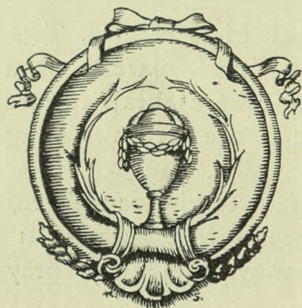
kim biegiem chmurnego nieba, w blasku surowych fanfar czekał na przybycie Naczelnego Wodza..

Kompanje poszczerbione, w szeregach dziury niezałatane, oficerów o połowę mniej, niż wczoraj przed bitwą... Orkiestra gra hymn, front się wypręża, czarne łapska równo spoczęły na gwerach, twarze w bok odrzucone, a oczy żołnierzy, oczy, w których zebrana jest wszystka zasługa walki i cała wierność—odprowadzają Naczelnika.

Major Mackiewicz ściągnięty, szczerniały od trudów i strat bolesnych, raportuje głośno Wodzowi.

Zaś w liczbie oficerów, podoficerów i żołnierzy wymienionej dobitnie, brzmiącej wyraźnie po przez akordy trąb, zawarty jest wysiłek całego wczorajszego boju... W tej liczbie, tak bardzo zmniejszonej z wczoraj na dziś, wypowiada się prosta chluba walki... W tej liczbie krwawi serce całego pułku...

Wiatr dmie, chmury się gonią na przekór z głosami hymnu, wzrok Wodza chłonie wszystkie spojrzenia żołnierzy... A miejsce to przygodne i sławne, a szeregi skrwawione i nieuległe, a twarze ostrą linją na tle murów wyrysowane, — wszystko to widzi się zdaleka, jakoby ryte w medalu, który wybity został na cześć ofiarnej krwi, nieustraszonej dzielności i zwycięstwa...





Idziemy z Lidy ku Wilnu. Mamy popasać w Biniakoniach, czy Żyrmunach, jakiś złośliwy koroniarz żartuje, że wogóle nie wypada walczyć w tych stronach... Nie mogą się przecież przyzwoite bitwy odbywać pod Biniakoniami, Żyrmunami, Krupką, czy innemi Kiszkami.

Trakt to się zamyka, to znów otwiera w ciszy piachów, W łagodnym powiewie brzóz to się ukaże jakaś zapóźniona kompanja, to znów znika...

Dziś przyszła wiadomość, że padły Baranowicze, szturmem został wzięty Nowogródek.

Szeptycki dusił, dusił, brał w obcęgi swej piechoty,— aż zgniótł...

Wiadomości nadchodzące z Wilna nikomu nie dają spokoju! Ułani wpadli do miasta i biją się... Coś niezwykłego wyprawia się w każdym sercu żołnierskim... Mam uparte, może dziecinne wrażenie, jakbyśmy tym starym murom, sławnym miejscom... Jakbyśmy samemu Mickiewiczowi dziękowali teraz tak poprostu i dzielnie za cały romantyzm... Za wszystkie strofki, za dźwięk wszystkich słów, które na wieki kołyszą czarem te miejsca, móc odpowiedzieć zwycięstwem!..

Już pojechała podpierać kawalerję w Wilnie piechota Smigłego. Pojechała rosyjskim wojskowym pociągiem, który ze stacji wileńskiej odesłał major Brzozowski... Parę godzin temu siedzieli w tych wagonach bolszewicy, którzy szli z odsieczą pod Lidę...

Ułani wloką armaty po ulicach i strzelają z nich na sto kroków... Obrona bardzo zażarta... Ludność polska przystała do wojska... Przez Ostrą Bramę wpadł na czele konnych szwoleżerów major Dreszer, major Zaruski z bagnetem w ręku sunie ulicą Dominikańską...

Bitwa na fali burzliwej wynosi słodkie, bolesne nazwy miejsc, gmachów, o których się czytało na tylu stronicach polskiego romantyzmu... Jakieś ognie biją w skroń, niewysłowiona radość kwili w piersiach, że oto miejsce pokuty i żalu staje się nazwą nowej sławy...

Mamy nocować w Woronowie.

Znów przychodzi sztafeta od Naczelnego Wodza, że nie w Bastunach, nie w Woronowie, że będziemy nocować w Biniakoniach.

Biegniemy na stację, aby tu spotkać pociąg z Naczelnikiem. Stacyjka położona w lesie samotnym... Przy aparacie kilku telefonistów z karabinami przez plecy... Dobijają się o jakąś stację, klną straszliwie.

Skądś z linji odpowiada im systematycznie jakiś Poznańczyk, trąbiąc pracowicie w aparat: Hallo! Gudy... Tu Gudy!.. Hallo! Hallo! Gudy... Tu Gudy...

Żeby cię pokręciło z tymi Gudami...

Wieczór zapada, czerwony mrok przenika drogi i lasy, szum gęstych sosen płynie niewstrzymanym głosem...

Zajeżdża pociąg. Z okien wychylają się nasi żołnierze — koło lokomotywy karabiny maszynowe... Wszystkie przedziały tętnią orężem... Na szerokich rosyjskich wozach wypisane pospiesznie kredą — : Pierwszy pociąg polski z Warszawy do Wilna!

Piłsudski stoi w drzwiach wagonu. Twarz jego objęta jest zorzą walki, policzki płoną gęstym rumieńcem, natężone źrenice straciły swój łagodny kolor,— biją rzęsistym światłem...

Postój... Na coś się jeszcze czeka... Naczelny Wódz wyskoczył zwinnie z wagonu i wraz wysypuje się za nim z pociągu pluton młodych żołnierzy — skautów. To jest właśnie osłona Dowódcy.

Nic piękniejszego, jak w ciemnych, aż bronzowych skłonach zachodu ów wielki lew, za którym, niby gromadka bujnych szczeniąt, bieży i zagania sprawny pluton skautów.

Komendant rozmawia z nami szybko, gorąco, słowa zdają się rozsadzać jego wezbraną pierś...

Ach tak, naturalnie... Bo istotnie, jakby się teraz wyrównały drogi dawno założonych przeznaczeń... Właśnie tam, gdzie Janusz Głuchowski rozbił bolszewików, w Lipniszkach, była pierwsza polska drukarnia tajna... A przecież wtedy drukarnia była tem, czem dzisiaj, tu na froncie, baterja haubic... Niedaleko stąd w Bastunach, złożony był transport odezw, które miano rozkleić, gdy tylko przyjdzie wieść o zgonie cara Aleksandra, na wszystkich rogach nieszczęsnej Polski i Litwy, aby nieprzyjaciel drżał myśląc, że tych drukarni jest wiele, w wielu miejscach....

Ach, tak, naturalnie, wyjść temu wiele lat prostym żołnierzem a wracać wodzem... Wygnanym być kiedyś z Ojczyzny, a dziś Ojczyznę tę mieczem swym z ostatniej niewoli ratować... Przebiegać drogi, na których kryć się trzeba było i cofać... Zaś dziś temi samemi drogami iść i zwyciężać i wroga gnać...

Dalej! Naprzód! Naprzód!!!

Wskoczyliśmy do wozów. Za Wodzem ławą skauci — i ruszyliśmy, schowani w ciemnem wnętrzu żelaznych flanków pociągu, przez rude lasy, zapomniane wody, ustałe drogi, tak przejęci spełnieniem przeznaczeń bohaterskich, jak chyba przejęci byli sprawą walki Grecy w ognistych flankach trojańskiego konia...

W Biniakoniach stanęliśmy późnym wieczorem. Mała stacyjka zawalona była wszelakim przyborem wojskowym. W izbie naczelnika stacji pełno łączników, którzy drzemali, siedząc w kucki na podłodze.

Piłsudski przyjmował raporty przez telefon... Z instrukcji jego wynikało, że wszystkie rozporządzalne siły, że ostatnie rezerwy rzuca na Wilno, że sam pozostaje właściwie bez żadnej osłony... Jakby kierowała nim jakaś tajemna ufność do tych rodzinnych stron, które nie zawiodą swego wojownika...

Myślałem, że teraz nareszcie przyjdzie czas na jakieś jedzenie. Wlekliśmy przecież ze sobą w skrzynce od amunicji detaszowany oddział kiełbas, wędlin, trochę wina...

Niestety! Ledwo to się ukazało na dworcu, gdy natychmiast znikło!..

Tylko starzy i znakomici żołnierze mogą mieć taki węch! Skrzyneczka nie zdążyła jeszcze stanąć na ziemi, gdy, mimo głębokich ciemności, znalazło się odrazu koło niej kilkunastu wypróbowanych wojaków, a wszyscy starym, bojowym zwyczajem: „trzy noce nie spali i cztery doby nie jedli”.



Patrole jazdy polskiej przy katedrze wileńskiej.

Jeszcze noc była, gdy ruch kolejowy, znów się ocknął. Przybyły szerokie lory rosyjskie, na które zaczęto ładować odrazu naszą artylerję, przyjechał też salonowy pociąg rosyjski po Naczelnego Wodza. Pociąg ten zabrany został przez naszą konnicę w Wilnie, z całym, dość wytwornym urządzeniem.

Rano nie było nic do roboty, więc włóczył się człowiek tam i sam między pustymi polami, po ścieżkach i drogach tego cichego kraju, na który niepodobna patrzeć „własnymi oczyma", który się zawsze oglądać będzie w chwale i rytmie Wieszcza...

Na lewo od drogi widać pałac Putkamerów — któż, czytając o Maryli w młodości, nie życzył zagłady godnemu Putkamerowi?!

Na prawo od drogi, przy kościele parafjalnym, w otoczeniu starych domostw i pól ubogich i krzewów, teraz właśnie pierwsze rzucających pąki, widnieje grobowy kamień Maryli...

I chociaż Hamlet już nad wiecznością tej pułapki grymasił i chociaż drogą tych spraw szli już najwięksi, jeszcze raz i ty, przechodniu malutki, zdjęty jesteś żalem... Żalem i płoną troską, gdy czytasz, iż to, czem żyło serce ogromne, leży oto tu, w skromnej ozdobie polnych traw, w cieniu zgarbionych bzów, pod ciężkim kamieniem, na wieki bezradnie złożone... I że się to niezmiennie mieści, nito w klamrze, między dniem urodzenia i odejścia: Marja z Wereszczaków Hr. Putkamerowa, urodzona 24 grudnia, zmarła 1863 roku 28 grudnia.

— Cóż więcej?..

Jakiejś doniosłości niezwykłej zdają się nabierać chwile poranka, a głos harmonijki, na której daleko gdzieś grają nasi żołnierze, słyszysz nagle, w przeciągu mgieł ostatnich, jakby słodki, uroczy oddech samej Polski, która nowe dźwięki rzuca teraz na drogi dawnych zawodów...

Po południu, w drugie święto Wielkiej Nocy jedziemy do Wilna. Mijam transport rannych i jakieś plutony cywilów, — którzy przy torze wartę sprawują, widać już z daleka wyniosłe czoło „Polskich Aten", widać coraz wyraźniej żłobiny ulic i pałaców...

Teraz przedmieścia... Wszyscy oficerowie przy oknach. Piłsudski w płaszczu, w czapce i rękawiczkach, jakby w tej chwili zeskoczyć miał z wagonu. Dziecinna pycha ogarnia żołnierzy: tę wielką stację, (bo już echa naszego pociągu łomocą wśród zabudowań), te szyny, te sapiące lokomotywy, te wszystkie bloki i zwrotnice i tyle kościołów i tyle domów — to wszystko wziął nasz oręż...

Wjeżdżamy na dworzec, orkiestra gra „Jeszcze Polska nie zginęła". Czarno od ludzi, wstrzymanych szarą, prostą sztabą kompanji honorowej. Na skrzydle panowie oficerowie z generałem Smigłym na czele. Oficery przysięgłe, wypróbowane w tysiącu ogni, w tysiącu przebojów... Stoją, jak mur, tylko szczęki bractwo to silnie zwiera, żeby nie dać poznać po sobie wzruszenia, nie dać poznać tej szalonej radości, jaka rozsadza piersi...

Oto ci, najlepsi uczniowie, którzy przyjęli z Litwy wielkiego mistrza walki i terminowali u niego w Polsce przez długi czas bezsławnych lat, lat krwawych, powracają mu miasto jego młodości zdobyte młodym orężem.

Ponad tłumem unoszą się w górę ręce powitania, a gdy Naczelny Wódz wysiadł z wozu, — jakby całej tej rzeszy ogromnej dech w piersiach zaparło... Na sekundę, na jeden błysk rozpięła się zdumiona cisza, a wzniesione ręce powitania zakrzepły w bezruchu niewiary w rzeczywistość tego spotkania...

Nagle tłum skruszył się, ścisnął, podebrał i jednem rzutem otoczył Dowódcę...

Wtedy dopiero można było z blizka rozpoznać nędzę

i ostateczne wyczerpanie tych ludzi... Wtedy dopiero można było widomą niedolą tych rzesz mierzyć głębię ich radosnego uniesienia... Wtedy dopiero, w najszerszym stopniu dumy żołnierskiej, doświadczyć można było szczytnych owoców odsieczy...

Jakiś dygnitarz miejscowy w wyszarzałym futerku zaczął ubożuchną w słowa, przejętą łzami mowę powitalną, którą raz w raz przerywały rzucane z głębi kwiaty... Z rodziną Piłsudskiego cały tłum wtargnął między rzędy oficerów i żołnierzy,—jakby tu wszyscy na tym dworcu byli jedną wielką, dotąd rozłączoną, teraz odzyskaną rodziną...

Ludzie nie wiedzieli, jak mają gościć, i jak mają podejmować wojsko... Więc obstępując gromadą, głaskali szare mundury po ramionach, rękawach, ruchem pełnym nieopowiedzianej dobroci i troski...

Potem, za Naczelnikiem, wśród tumultu okrzyków,—bo tłum ten cieszył się tak radośnie i śpiewnie, jak dzieci się cieszą, — wszystko ruszyło ku miastu...

Eskortowały Wodza zwycięskie pułki jazdy, szwoleżerów i ułanów, liczna świta...

A gdy o zmroku, w klasku kopyt, w płaczu i krzykach tłumu, w chrzęście oręża, zamajaczyła sroga postać dowódcy pod Ostrobramskim łukiem, — zdać się mogło, iż ożywa jakaś druga strona starych ryngrafów, na których, pod świętą opieką, do oblężonego grodu wjeżdża wódz polski, z orszakiem mężnego rycerstwa...

Wilno przyjęło nas w ubóstwie swym bezgranicznym i w zniszczeniu, tem wszystkiem, co jest w tem mieście wieczne: Pięknością starych murów i miłością serc... Jeszcze nie szedł żołnierz polski w takim blasku, w jakim szedł temi ulicami, objęty błogosławieństwem mieszkańców.

Zaraz następnego dnia po przybyciu jęły się zbiegać delegacje cechów, stanów, powiatów i ziem okolicznych...

Było coś nigdy nie zapomnianego w ruchu i w słowie tych ludzi... Bo to były nie tylko słowa wdzięcznej radości... Bo mowy, które głosili ci ludzie, tak okrutnie doświadczeni, tak szczęśliwie uwolnieni, były rachunkiem sumienia, prostą gorącą spowiedzią z walk i z wiary i z prób najcięższych...

Tak mówią, tak spowiadają się ludzie w porywie serc, które przepełnia szczęście niespodziewane...

Cóż więcej o tych pierwszych dniach wojska polskiego w Wilnie?

Błogosławieństwo i kwiaty... W radości, w pozdrowieniach, okrzykiem buchających, w kwiatach, nito w uroku przecudownej pogody, szły polskie wojska pod katedrą, twarde oblicze stawiając przed Wodzem Naczelnym.

A gdy po uroczystym nabożeństwie przed Ostrą Bramą, przemówił do szarych zastępów wojska i do rzesz tysiącznych kaznodzieja, zwycięskiego Wodza opiece boskiej zalecając, — rozległ się w tłumie głos, jak kiedy wezbranym strumieniem lodowe kry biją o się i dzwonią...

Tak wielki wybuchł płacz oswobodzenia i wdzięczności...

Po nabożeństwie ruszyliśmy automobilami w dół, potem zaś w boczną ulicę. Wóz Piłsudskiego zatrzymał się przed jakimś wielkim, mrocznym gmachem.

Ciężką, rządową bramą weszliśmy w szare podwórze, na którym rośnie cierpliwie stare drzewo samotne.

— „Pierwaja Wileńskaja Gimnazja" — oznajmił nam Komendant...

Pobiegł szybko na górę, jak ktoś, kto doskonale zna cały rozkład budynku, my za nim, trzeszcząc po korytarzu szablami.

— Tu była kancelarja dyrektora... Piłsudski przystanął.— Rzadko się tu przychodziło... Zawsze tylko w bardzo ważnych sprawach... Pierwszy raz byłem u dyrektora za zorganizowanie tajnego stowarzyszenia... Bo trzeba panom wiedzieć...

Komendant wziął któregoś z oficerów za guzik od płaszcza. Stoimy przy drzwiach tej kancelarji dyrektorskiej, głos Piłsudskiego głęboki i radosny niesie się daleko po pustym korytarzu.

— Bo trzeba wam wiedzieć, że w drugiej klasie stworzyłem pierwsze tajne zgromadzenie, skierowane przeciw przeciąganiu nauki poza głos dzwonka...

Idziemy dalej, szable skrzeczą na kamieniach, idziemy spieszną wojskową gromadą.

— A tu karcer...—Piłsudski znów przystanął, jak człowiek, na zapomnianej już prawie drodze odnajdujący dawne nigdy niezapomniane wspomnienia...—Tu w trzeciej klasie siedziałem pierwszy raz za „polskij jazyk”... Gdzież ta klasa?..

Otwarł nagle drzwi izby gimnazjalnej, a my razem z nim stanęliśmy u wejścia, zdumieni... Bo jakby się spełniała dowodnie, przykładna opowieść o niezłomnej drodze i czynach owocujących... — Na tablicy tej klasy, w której Naczelny Wódz siedział za „Polskij jazyk” stało wypisane niewprawną ręką młodego kwatermistrza:

WOJSKO POLSKIE
5 PUŁK PIECHOTY LEGJONÓW
KOMPANJA...

